

Apostazja, szansa polskiego katolicyzmu

ze Stanisławem Obirkem

rozmawiają Michał Larek
i Marek Wasilewski

Stanisław Obirek
fot.: Marek Wasilewski
[s. 30, 37]



Michał Larek: Zna Pan jakichś apostatów?
Znam.

M.L.: Jacy to są ludzie?

Tacy sami jak inni. Tyle że mają za sobą ważną decyzję życiową, która wiąże się z silnymi emocjami. Są mocno przekonani o słuszności własnej decyzji. Moje spotkanie z nimi było bardzo konkretne. Polscy racjonalisci zaprosili mnie na spotkanie do Radzikowa. Miałem coś powiedzieć o wierze i niewierze. Było to ciekawe doświadczenie. Musiałem być precyzyjny, odpowiadając na pytanie dotyczące mojej wiary. Oni są przecież przekonani, że wiara jest czymś oszukańczym, bezsensownym. Według nich przynależność do jakiegokolwiek struktury religijnej jest rezygnacją z własnej autonomii. To bardzo ciekawa grupa ludzi. Rosnąca. Zdaje się, że w Polsce jest teraz pół miliona apostatów.

M.L.: Mówi Pan: decyzja. Zatem gest apostazji jest efektem namysłu. To każe zapytać mnie o racje apostatów.

Przede wszystkim negatywne doświadczenia z instytucją. Siłą rzeczy muszę się odwołać do Tomasza Polaka (dawniej Węclawskiego), który powiedział, że akt apostazji rozpoczyna jego nowe życie. Być może przyjęcie nowego życia jest symbolicznym odcięciem się od tamtej przynależności instytucjonalnej. W jego przypadku sens apostazji jest szczególnie wyrazisty. W innych przypadkach ten proces jest pewnie mniej wyrazisty, ale równie dramatyczny. Ale tak naprawdę chodzi o to, że nie chcę już przynależać do instytucji, która mnie zmęczyła, która skompromitowała wartości przez siebie głoszone.

M.L.: Czy to jest decyzja głównie instytucjonalna? Czy ma też ona związek z samą wiarą?

W moim przekonaniu jest to decyzja przede wszystkim instytucjonalna – apostata nie chce być członkiem Kościoła i formalnie to zgłasza

właśnie instytucji, a konkretnie proboszczowi parafii, w której przed laty został ochrzczony, a więc włączony do wspólnoty kościelnej. W praktyce oznacza to również odejście od wiary; w terminologii kościelnej zwykło się mówić: apostata wypiera się wiary. Trafniej należałoby chyba mówić o utracie wiary w Kościół i o potrzebie powiedzenia tego głośno, również wobec własnej rodziny, przyjaciół, najbliższych. A w stosunku do instytucji jest to powiedzenie: dziękuję, nie skorzystam z twoich usług. A nawet więcej, dalszą przynależność do instytucji uważam za sprzeczną z moimi obecnymi przekonaniem.

Marek Wasilewski: Przypomina się hasło z lat 80.: Socjalizm – tak, wypaczenia – nie. W swojej książce: „Obrzeża katolicyzmu” pisze Pan, że realny katolicyzm po 1989 roku jest jak realny socjalizm przed 1989.

To nie jest moje. Przed laty usłyszałem to od mego przyjaciela Jana Woleńskiego, który nawiązując do swoich doświadczeń z partią komunistyczną, wskazywał na analogie z moim doświadczeniem w Kościele, a ściślej – w zakonie. On w partii też wiele mógł mówić i nawet kwestionować, byle nie działa się to publicznie, tylko w gronie wtajemniczonych. Zanim zdecydowałem się na wystąpienie z zakonu, przez lata próbowałem być „otwartym księdzem”. Irytowało mnie to porównanie, bo wydawało mi się, że Kościół jest zupełnie inną rzeczywistością niż partia komunistyczna. Teraz ta optyka jest moją optyką. Wyraźnie widzę sprzeczności między deklaracjami a praktyką. To wrażenie nabrało dramatycznej aktualności w świetle coraz liczniejszych przypadków „wstydlivych grzechów księży”, czyli mówiąc wprost: zbrodni pedofilii. Na razie wiemy o tym sporo dzięki mediom i współpracy przynajmniej niektórych duchownych w Stanach Zjednoczonych, Irlandii, Niemczech i Holandii, w Polsce to ciągle temat tabu. Mimo pewnych prób zostały one zagłuszone.

Polski Kościół katolicki zachowuje się podobnie jak polska partia komunistyczna

M.W.: Praktyka apostazji w obu przypadkach bywa chyba podobna?

Przed wszystkim podobnie są traktowani dysydenci, czy używając terminu teologicznego: apostaci. Wprowadza się szereg praktyk, których celem jest zneutralizowanie szkód, jakie dysydent czy apostata może wyrządzić instytucji, z której odszedł. A więc ogłasza się wszem i wobec, że utracił wiarygodność, że tak naprawdę jego decyzja skrywa problemy osobiste, a nawet zdrowotne (posądzenie o chorobę psychiczną nie jest czymś rzadkim). Polski Kościół katolicki zachowuje się podobnie jak polska partia komunistyczna, ale to jest szczególnie przypadek. Inaczej jest na przykład w Stanach Zjednoczonych, które dość dobrze znam, obecność byłych jezuitów na uczelniach jezuickich jest czymś normalnym. Uczą dalej na uczelniach jezuickich czy pracują w instytucjach kościelnych, bo są ekspertami w jakiejś dziedzinie. Związki, przyjaźnie zawiązane w czasach bycia zakonnikami nie zostają dramatycznie przerwane. W Polsce stygmat „byłego” jest bardzo mocny. Ten, kto odszedł, to dysydent, zdrajca, niewierny, chciałoby się dodać: apostata właśnie. Gdyby nie było uniwersytetów, uczelni państwowych, los „eksów” byłby dramatyczny. Przecież ci, którzy nie mają tytułów naukowych, nie mogą nawet uczyć katechezy w szkołach. Na szczęście ja sam mogłem podjąć pracę na Uniwersytecie Łódzkim.

M.W.: Żartowaliśmy z Michałem, że słowa „apostazja” czy „ekskomunika” są tak nacechowane, iż brzmią jak tytuły horrorów.

Nie tylko dla panów, myślę, że jest to odczucie dość powszechne. Dlatego ludzie, którzy może i chcieliby dokonać apostazji, boją się reakcji najbliższych. Nie chcą sprawiać bólu rodzicom, znajomym. Albo po prostu boją się stygmatyzacji społecznej. Tak więc to skojarzenie ma pokrycie w rzeczywistości. Ja w pewnych kręgach też jestem objęty tym stygmatem. Moja matka, mimo że powtarza, że jej stosunek do mnie się nie zmienił, nie jest w stanie zaakceptować mojej żony. Pewnie bardziej boi się reakcji małomiasteczkowego środowiska niż swojej synowej, której z własnej woli nie zna. Ale już dla mego rodzeństwa to nie jest problem. Mój najmłodszy brat, który mieszka w Irlandii i ożenił się z Irlandką, z pewnych względów jest nawet zadowolony, że nie ma brata księdza. Poza tym w pewnym sensie stałem się publicznym „eksem” i być może dlatego niektórzy „byli” księża się ze mną kontaktują. Próbowałem paru osobom pomóc. I jest to beznadziejne. Jeśli ktoś nie ma jakiejś świeckiej specjalizacji, jest w poważnych tarapatkach. Nie może liczyć na zatrudnienie nie tylko w instytucjach kościelnych, ale i w szkołach, które są ostrożne i zważają na opinię proboszcza.

M.W.: Czyli prawdą jest, że poza Kościołem nie ma zbawienia [śmiech].

Poza Kościołem nie ma pracy [śmiech]. Bardzo trudno ją zdobyć, bo macki kościelne, jak mi powiedział jeden z księży, sięgają bardzo daleko. I znowu mamy horror.

M.L.: Uzasadnione jest więc chyba podejrzenie, że w Kościele można odnaleźć wielu potencjalnych „eksów”, którzy z obawy przed tego rodzaju cywilnymi konsekwencjami nie decydują się na odejście.

Wie pan, czasem mam wrażenie, że dzisiejsze czasy są swoistym czekaniem na nowego Marcina Lutera. W jego czasach również wśród kleru było duże niezadowolenie z panujących stosunków w Kościele. Biskupi i papieże byli krytyko-

wani, ale nikt nie miał odwagi tego publicznie powiedzieć. Dopiero gdy się znalazł jeden z mnichów augustiańskich i powiedział, że tak dłużej nie można, że on to wszystko rzuca i zaczyna nowe życie – to się zaczęła rewolucja. Klasztory opustoszały i ludzie zaczęli o teologii dyskutować na jarmarkach, a nie w zaciszu klasztornym. Inne to były czasy, więc i dzisiaj rewolucja przybiera inne formy. Mniej spektakularne, ale dla instytucji kościelnej może nawet groźniejsze. Ludzie coraz mniej się Kościołem interesują, zaczyna ich ta wewnątrzkościelna dyskusja po prostu męczyć i zaczynają szukać odpowiedzi poza Kościołem.

M.L.: Czy Pan wie, jak duchowni reagują na prośby o przeprowadzenie aktu apostazji?

Bardzo różnie. Choć przede wszystkim z niedowierzaniem. Stwierdzeniem, że to jest nieprze-myślana decyzja, podjęta w afekcie. Na pewno ci przejdzie. Przeczekuje się więc. Oprócz tego niedowierzania, że ktoś może dobrowolnie zrezygnować z dobrodziejstw wiecznych, jakie gwarantuje Kościół, jest też przyzwyczajenie historyczne, że przynależność do Kościoła była zawsze upragniona. Jak można się wypisywać z instytucji, która gwarantuje wszystko, co najlepsze w naszej przeszłości, kulturze. To jest zatem problem socjologiczny, psychologiczny, kulturowy, który sprawia, że większość księży jest nieprzygotowana na takie wolty swoich wiernych i upatruje w tym spisek. Reakcja taka banalizuje i lekceważy ważne zjawisko.

M.W.: Ale tak reagują nie tylko duchowni. Świadczy o tym incydent we Wrocławiu. Młodzi ludzie, którzy zakwestionowali obecność krzyża w klasie, zostali przez senatora Ryszarda Legutkę nazwani smarkaczami.

Reakcja profesora Legutki bardzo mnie zdziwiła. Ja go dobrze znam z czasów krakowskich. Wydawał mi się zawsze człowiekiem niezwykle głębokim. Tymczasem odnosząc się w taki sposób do bardzo poważnej sprawy, jaką jest

stosunek do obecności symboli religijnych w przestrzeni publicznej, w dużym stopniu się skompromitował jako intelektualista. Być może stał się po prostu politykiem, a zrezygnował z głębszego namysłu nad światem. Miejsce, siedzenie pewnie określa perspektywę patrzenia.

M.W.: Sugeruje się też, że Polak może być dobrym obywatelem tylko pod krzyżem. Polak-katolik.

I to jest niedobre. Instytucja, która kiedyś była przestrzenią wolności, teraz wolność ogranicza. Od intelektualisty wymaga się jednak umiejętności analitycznych. To uczniowie mieli rację. I to trzeba było wykazać. Młodzi ludzie powinni przecież sami decydować o sobie.

M.L.: Wychodzi na to, że ludziom Kościoła bardzo trudno przychodzi akceptacja faktu, że człowiek może zmienić swoje zapatrywania, że może myśleć inaczej, że może cenić własne racje. Dlaczego tak jest?

Ciążenie tradycji. Sięgnijmy do średniowiecza, bo to jest dogodna perspektywa. Tacy intelektualni giganci jak Akwinata, Bonawentura, Duns Szkot byli w swoim czasie rewolucjonistami. Na ich myślenie patrzono z podejrzliwością. Tomasz miał przez pewien czas etykietkę heretyka, bo u pogan szukał inspiracji. Coś się stało, że dzieła tych odważnych umysłów stały się w XIX wieku cepami, którymi bije się po głowach niepokornych myślicieli. Myślę tu na przykład o Tadeuszu Bartosiu, jednym z najwnikliwszych interpretatorów świętego Tomasa, który pokazuje, że w jego myśli można znaleźć postmodernistyczne elementy. Dzięki temu Akwinata uczy inteligentnego kwestionowania przeszłości po to, żeby wypracować coś nowego. Bartoś odwołując się do swoich przekonania religijnych, chce tworzyć nowe rozwiązania. On chce też nauczyć ludzi patrzeć z optymizmem na wielość kultur. Tymczasem instytucja zawłaszczyła te rewolucyjne myśli i zamieniła w dogmaty.

Apostazja jest szansą powrotu do pierwotnej czystości

M.L.: Kiedy w historii europejskiego Kościoła znika umiejętność krytycznej analizy, inteligentnego kwestionowania?

Myślę, że punktem przełomowym był XVI wiek, gdy Kościół zaczął podejrzliwie patrzeć na Erazma z Rotterdamu. On był mistrzem analizy tekstów, wyciągał konkretne wnioski ze swoich lektur. Jezus Erazma to był Jezus Nowego Testamentu. Nie Jezus ideologii. Papieże patrzyli na niego podejrzliwie. Chcieli go zrobić kardynałem, żeby go upuścić. Będzie nasz, więc będzie bronił instytucji. Zauważmy, że kiedy Ratzinger staje się kardynałem, zaczyna inaczej myśleć; jak obrońca instytucji właśnie. Erazm nie uległ pokusie. Patrzył na niego podejrzliwie także Luter, który chciał go pozyskać dla własnej wizji Kościoła. Wtedy nastąpiła polaryzacja chrześcijaństwa, którą pokój westfalski przypieczętował (zasadą cuius regio, eius religio – czyj kraj, tego religia). Odtąd książę, biskup decydują, w co ludzie mają wierzyć. I tu jest początek najbardziej prymitywnej ideologizacji chrześcijaństwa. Umysł nie szuka zrozumienia. Umysł podporządkowuje się ideologii. I mój był zakon, Zakon Jezuitów, jest efektem tej zasady. Loyola, choć sam przeżył mistyczne nawrócenie później, działał tak, by przede wszystkim zadowolić papieża. Kiedy papież mówi na białe czarne, my mu potakujemy. W praktyce oznaczało to jednak zawieszenie broni, bo siły katolickie i protestanckie były równo podzielone w Europie. Tak więc gdzie był władca katolicki, tam jezuici odnosili wspaniałe sukcesy edukacyjne (słynne jezuickie kolegia), zaś w krajach protestanckich kwitły

szkoły i uniwersytety protestanckie. Natomiast w XIX wieku szala przechyliła się na korzyść protestantyzmu (być może nie bez znaczenia był fakt zniesienia przez papieżstwo zakonu jezuitów). Państwo kościelne praktycznie przestało istnieć po zjednoczeniu państw włoskich przez Galibardiego, a papież Pius IX ogłosił się więźniem Watykanu. Do niechęci do myślenia niezależnego doszła jeszcze mentalność obłożonej twierdzy. Pierwszy Sobór Watykański to kwintesencja tego myślenia, a ogłoszenie dogmatu o nieomylności papieża w 1870 roku to ostateczna rezygnacja z autonomii rozumu. Krótko mówiąc, mnożą się enuncjacje wrogie wszystkiemu, co nie zgadza się z nauczaniem kościelnym, a to oznacza koniec niezależności myślenia w Kościele.

M.W.: Przed Erazmem były wyprawy krzyżowe, rozprawa z Albigenami. Nie są to przykłady otwartych debat.

Ale to były przykłady raczej polityczne niż religijne. Papieżstwo po wielkiej próbie sił z Cesarstwem Rzymskim stało się wielkim graczem politycznym. W tego typu inicjatywy włączyły się też niestety wielkie umysły. Bernard z Clairvaux czy Jan Kapistran. Uznali, że to jest opatrnościowe. Mamy więc przejawy chęci dominacji, które pan wskazał. Przy okazji trzeba przypomnieć teologów dominikańskich, którzy mówili o prawie ludów do samostanowienia, do wyboru religii – wystarczy wspomnieć Bartolomeo de las Casas – ale to oddzielny problem, którego nie możemy tutaj rozwinąć. Trzeba poczekać na inną okazję.

M.L.: Po tej pożytecznej opowieści o wygaszaniu umiejętności dyskusyjnej z cudzymi racjami wrócimy do apostazji. Czy w tym postępującym zjawisku można upatrywać szansę dla polskiego katolicyzmu, czy jednak zagrożenia?

To chyba oczywiste, że postrzegam to jako szansę. Ja osobiście nie odczuwam potrzeby dokonania tego aktu. Może dlatego, że nigdy

nie byłem gorliwym obrońcą instytucji. Nawet będąc wewnątrz tej instytucji, byłem wobec niej zdystansowany. Rozumiem jednak bardzo dobrze tych, którzy to robią. Związek Radziecki rozpadł się, bo władający nim ludzie zwątpili w sens tego, co robili. Podobnie może być z Kościołem katolickim. On się rozpadnie, jeśli coraz więcej ludzi będzie wyrażało wątpliwości co do sensu jego istnienia w takiej formie. Lubię powoływać się na moich ulubionych kardynałów, już emerytowanych: Carla Marię Martini z Mediolanu i Godfrieda Danneelsa z Brukseli – oni często podnosili rozmaite wątpliwości dotyczące szeregu decyzji Jana Pawła II, ale zawsze byli umiejętnie wyciszani. W Polsce nigdy się o nich nie mówiło. Gdyby debata odbywała się na zasadach partnerskich, to nie byłoby potrzeby ostrego dystansowania się do Kościoła. Ale w Polsce widocznie inaczej nie można. Chyba tylko podczas rebelii czy powstania można zmanifestować własne zdanie. Dlatego widzę wręcz konieczność apostazji. Apostazja oczyści Kościół z naleciałości ideologicznych. I z pieniędzy, co nie jest obojętne. Zresztą perspektywa radykalnej zmiany Kościoła i typu obecności w przestrzeni publicznej jest obecna w świadomości jego przywódców. Myślę, że Benedykt XVI jest pierwszym, który ma duże wątpliwości co do tej obecności socjologicznie uchwytej. Katolicy, nawet ci najbardziej otwarci, jak ksiądz Adam Boniecki, postrzegają sekularyzację jako zagrożenie. Ale Benedykt XVI widzi chyba w tym szansę oczyszczenia. Potwierdzeniem mojej intuicji jest to, że w przeciwieństwie do swojego poprzednika bardzo odważnie podchodzi do sprawy pedofilii – co oznacza dotknięcie samego rdzenia. Polscy biskupi boją się tego jak ognia, bo to oznacza utratę autorytetu. Apostazja jest szansą powrotu do pierwotnej czystości, że tak górnolotnie powiem. Nie obawiałbym się zatem rozpadu, jak to było w przypadku Związku Radzieckiego.

M.W.: Czyli jest Pan optymistą w tej kwestii?

Jestem pełen nadziei, że Kościół nawiąże do najlepszych wzorców sprawdzonych historycznie, na przykład do Kościoła koptyjskiego. Mało wiemy o chrześcijanach na Bliskim Wschodzie, a oni mają dłuższą tradycję niż Rzym. To jest bezpośrednia sukcesja czasów apostoelskich. Oni nigdy nie byli dominującą obecnością, nigdy o żadnym celibacie nie słyszeli. Philip Jenkins, amerykański historyk, protestant, pisze, że chrześcijaństwo wymiera. Ale wymiera jego postać triumfalistyczna, którą tak bardzo chciał utwierdzić Jan Paweł II. Katolicy w Polsce z nostalgią myślą o kontroli dusz i ciał. It's over. To już przeszło. Ale póki co świadomość polskiego episkopatu jest taka sama jak za Piusa IX: bronić się, wyklinać, stygmatyzować.

M.L.: Zwolennicy silnego katolicyzmu zauważyłoby, że konsekwencją Pańskiego sposobu myślenia jest rozmycie katolickiej tożsamości.

Tak mówi chociażby Zbigniew Nosowski. Według niego Obirek i Bartoś umiłowali dialog dla niego samego i wyparli się własnej tożsamości. To jest bardzo reprezentatywny głos dla polskiego katolicyzmu otwartego. Nie mówię już o różnych oszołomach, takich jak Rydzik, Terlikowski czy Gowin. Oni nie przyjmują żadnych argumentów. W końcu mają bezpośredni telefon do samego Pana Boga. Nosowski ma oparcie w instytucji, jest zapraszany na salony Episkopatu, ja natomiast jestem stygmatyzowany jako zdrajca, dysydent, nieszczęśnik, który utracił wiarę. Ja mogę odwoływać się jedynie do historii, do faktów. Dzieje Europy Zachodniej, krajów katolickich jak Irlandia, Hiszpania, potwierdzają moją wersję wydarzeń. Dialog jest możliwy tylko pomiędzy tymi, którzy mają mocną osobowość i nie muszą chować się pod skrzydła instytucji (jak to robi Nosowski). Tożsamość chrześcijańska to nie jest okres ideologizacji chrześcijaństwa (od IV do XX w.). +

Po Soborze Watykańskim II musimy wziąć w nawias 1,5 tysiąca lat. To się w głowie nie mieści polskim katolikom, którzy katolicyzm utożsamiają z historią Polski. Dlatego ja nie mam z nimi wspólnego języka. Ale mam przyjaciół w Stanach, Niemczech czy Azji, którzy podzielają moje zdanie. Czuję głęboką satysfakcję, że przynależę do innego kościoła niż ten dominujący tutaj. Czy to uzurpacja? Ja po prostu chcę mieć prawo bycia innym.

M.L.: Ale czym byłby rdzeń katolicyzmu?

Mój mistrz W.J. Ong powtarzał, że „katolikos” oznacza „powszechny”, „uniwersalny”, a nie „rzymkokatolicki”.

M.L.: Ale czy to nie jest sztuczka retoryczna?

Pod tą skrajnie wieloznaczną metaforę „powszechności” można podciągnąć prawdopodobnie wszystko.

Nie wiem, czy to jest sztuczka retoryczna. To jest raczej bardzo poważne potraktowanie historii. Biorąc w nawias 1500 lat, unieważniam także wszystkie podziały chrześcijaństwa.

M.L.: To dlaczego Pan nie dokonał aktu apostazji?

Dla mnie ten Kościół przestał być istotny. Wypisując się z niego, przydawałbym mu znaczenie, którego dla mnie nie ma.

Przez kilka lat uprawiałem wschodnie sztuki walki, których sens polega na unikaniu ciosów. Wykorzystuje się tam siłę przeciwnika, by go pokonać. Ja wygaszam agresję Kościoła, mówiąc, że mnie to nie interesuje. Choć przecież nie jestem bierny. Wolę uzmysławiać ludziom, że cały ten aparat dyscyplinujący jest tylko kulturowo wytłumaczalny. Więc zmiana kultury sprawia, że będzie on zawieszony w próżni. Powołam się na swój przykład. Ksiądz, który chce przejść do stanu świeckiego, musi przejść proces *reductio ad statum laicale*. Chciałem się poddać tej procedurze. Wyrzucono mnie z zakonu z tego względu, że stałem się publicz-

nym zgorzeniem. Ale to nie spowodowało, że przestałem być księdzem.

M.W.: Technicznie dalej jest Pan księdzem?

Tak. Ale mogę przestać nim być w każdej chwili.

M.L.: W jaki sposób?

Procedura jest taka: trzeba odpowiedzieć na jakieś bardzo skomplikowane pytania, na które ja odpowiedziałem. Zwrócono mi jednak uwagę, że lekceważę Ojca Świętego i instytucję, bo nie odpowiadam w sposób pełny. Wkurzyłem się, bo poważne potraktowanie pytań oznaczać miało w praktyce, że jako młody człowiek podjąłem decyzję w sposób nieodpowiedzialny, że tak naprawdę zostałem zmuszony do wstąpienia do zakonu, że miałem kłopoty psychiczne. A ja z przekonaniem wstąpiłem do zakonu, z przekonaniem byłem księdzem i teraz z przekonaniem występuję. To się widocznie nie mieści w scenariuszu, który sobie pomysłodawca napisał. Powiedziałem, że w takie klocki nie będę się bawił. Traktujecie mnie niepoważnie, proszę mi odesłać wszystkie dokumenty. I na tym moja „redukcja do stanu świeckiego” się skończyła.

M.L.: Podobno księży niekiedy utrudniają przeprowadzenie aktu apostazji.

No tak. Bo im się w głowach nie mieści, że można mieć dobre powody dla odejścia z tej instytucji. A w wypadku księży jest to szczególnie dotkliwe, może nawet obraźliwe, gdyż jest to rodzaj wotum nieufności do tego, co robią. Podobnie zresztą jest z biskupami, dla nich akceptacja apostazji to zgoda na możliwość otwartej krytyki, a może nawet na zakwestionowanie ich pretensji do bycia przewodnikami narodu. Taki apostata nie ma trudności, żeby zobaczyć, że Dziwisz to jest infantylny strażnik pamięci, że Michalik to jest niemal mafijny przedstawiciel instytucji, który tuszuje

grzechy i zbrodnie swoich podopiecznych. Ktoś to musi zacząć mówić. Może to moja funkcja – bycie takim dokuczliwym gzem? Dlatego w Polsce jest potrzeba apostazji. Jest potrzeba powiedzenia: ja z tą mafią nie mam nic wspólnego.

M.W.: Proponuje Pan wziąć w nawias 1,5 tysiąca lat katolicyzmu i zarazem całą historię Polski. Jak nasze społeczeństwo sobie z tym poradzi?

Już są próby poradzenia sobie. Książka Marii Janion „Niesamowita słowiańszczyzna” jest świetnym przykładem. Odwołując się do teorii oralności Onga, badaczka mówi, że chrześcijaństwo zostało utożsamione z elitarną tradycją łacińską, czyli z przekazem piśmiennym, w konsekwencji odcięto żywiol ludowy od nośników tradycji. Lud był zawsze tym materia-

łem, który się obrabiało. Janion dopomina się, żebyśmy zwrócili się do tradycji pogańskiej i byli z niej dumni. Nie musimy przecież utożsamiać się z tradycją, która została nam narzucona. Owszem, było jak było. Bierzymy to w nawias i mówimy, że możemy inaczej. Według mnie, można tworzyć alternatywną historię Polski, nie odrzucając chrześcijaństwa. Ja nie czuję potrzeby odrzucenia chrześcijaństwa. Uważam, że mimo wszystko rdzeń chrześcijaństwa, ten rdzeń, którym jest nauczanie Jezusa z Nazaretu, jest interesujący. Warto ten nurt historii ludzkości pielęgnować, ale warto też uprzytomnić sobie, że na historię Polski składają się inne nurty religijne, nie tylko katolicki. Katolicyzm nie jest jedynym polskim ważnym nurtem religijnym – taka sugestia jest efektem manipulacji historycznej. ●

